

Zabójstwo przy rue Morgue

*Jakie pieśni śpiewały Syreny lub jakie imię przybrał Achilles,
gdy ukrywał się między kobietami? Są to zagadnienia wprawdzie
kłopotliwe, ale nie leżące poza obrębem wszelkich przypuszczeń.*

(Sir Thomas Browne: *Urn-Burial*)

Zdolności umysłowe zwane analitycznymi nie nadają się w swej istocie zbyt do analizy. Oceniamy je tylko wedle ich wyników. Wiemy o nich, między innymi, iż dla osób, które posiadają je w niepowszednim stopniu, bywają one zawsze źródłem najwyższej radości. Podobnie jak człowiek silny cieszy się swą cielesną krzepkością i lubuje w ćwiczeniach, które wymagają sprawności jego mięśni, tak samo analityk szuka chluby w czynności umysłowej, która polega na rozwikływaniu. Lubuje się nawet w zajęciach najpospolitszych, które następczą mu sposobność do zastosowania swych uzdolnień. Przepada za łamigłówkami, zagadkami, hieroglifami. Okazuje we wszystkich swych rozwiązaniach tyle przenikliwości, iż w pojmowaniu zwyczajnym wydaje się ona nadprzyrodzona. Wyniki jego, osiągnęte przez najistotniejszą treść i ducha metody, mają rzeczywiście wszystkie znamiona intuicji.

Ta zdolność rozkładania zjawisk złożonych wzmaga się wielce pod wpływem wiedzy matematycznej, w szczególności zaś pod wpływem najznamienitszej jej gałęzi, nazywanej niesłusznie i jedynie ze względu na jej działanie wsteczne analizą, jak gdyby to była analiza *par excellence*. Bowiem kalkulacja nie jest w swej istocie analizą. Na przykład szachista stosuje pierwszą nie uciekając się wcale do pomocy drugiej. Wynika stąd, iż wpływu gry w szachy na podłoże psychiczne zupełnie się nie rozumie. Nie piszę obecnie rozprawy, lecz zwykłą przedmowę do nieco osobliwej opowieści i rzucam pobieżne spostrzeżenia. Korzystam zatem ze sposobności, by zapewnić, że subtelniejsze władze intelektu refleksyjnego o wiele istotniejsze i o wiele pożyteczniejsze znajdują zastosowanie przy niepozornej grze w warcaby niż przy pracowitej czczości szachów. W grze ostatniej, w której figury mogą wykonywać ruchy rozmaite i dziwaczne oraz posiadają różną i zmienną wartość, złożoność uchodzi mylnie (błąd nader pospolity!) za głębokość. Uwaga ma w niej ogromne znaczenie. Dość, by osłabła na chwilę, by coś się przeoczyło, a wyniknie stąd porażka lub przegrana. Ponieważ posunięcia możliwe są nie tylko różnorodne, lecz także niejednakie co do swego znaczenia, przeto

prawdopodobieństwo owych przeoczeń wielce się pomnaża; i w dziewięciu wypadkach na dziesięć wygrywa raczej gracz uważniejszy niż bystrzejszy. Natomiast w warcabach, gdzie ruchy są proste i przedstawiają niewiele odmian, prawdopodobieństwa nieuwagi się zmniejszają, zaś sama tylko baczność względnie niewielkie ma zastosowanie, skutkiem czego przewaga bywa po stronie przenikliwości bystrzejszej. Pomińmy te ogólniki i wyobraźmy sobie grę w warcaby, gdzie figury są ograniczone do czterech królów, więc na przeoczenie liczyć nie można. Ponieważ żaden z graczy nie ma przewagi, przeto o zwycięstwie ostatecznym może rozstrzygnąć tylko przezorna taktyka, będąca wynikiem potężnego wysiłku intelektualnego. Pozbawiony zwykłych środków pomocniczych analityk wnika w ducha swego przeciwnika, utożsamia się z nim i niejednokrotnie od pierwszego rzutu oka odkrywa sposób (niekiedy do nedorzeczności prosty), jak go wciągnąć w zasadzkę lub popchnąć w błędne obliczenia.

Wist od dawna już jest znany ze swego wpływu na zdolności kalkulacyjne i bywają ludzie, uposażeni najlotniejszą inteligencją, którzy znajdują w nim niezrozumiałe na pozór upodobanie, a natomiast lekceważą szachy jako grę błahą. Jakoż bez wątplenia nie ma podobnej rozrywki, która by w równej mierze zaprzętała zdolność analityczną. Najlepszy w całym chrześcijaństwie szachista nie może być niczym innym, jak tylko najlepszym szachistą, gdy tymczasem pomysłowość w wście zawiera zapowiedź powodzenia w tych wszystkich nierównie ważniejszych przedsięwzięciach, gdzie umysł pasuje się z umysłem. Mówiąc o pomysłowości, mam na myśli ową doskonałą umiejętność gry, która mieści w sobie znajomość wszystkich źródeł, mogących zapewnić rzetelne korzyści. Są one nie tylko różnolite, lecz także różnorodne i kryją się często w głębiach myślowych najzupełniej niedostępnych dla pospolitego pojmowania. Czynić spostrzeżenia uważnie, jest to przypominać sobie dokładnie; z tego względu szachista bardzo uważny będzie również dobrze grał w wista, ile że reguły Hoyle'a (opierające się na najprostszym mechanizmie gry) są łatwe i powszechnie zrozumiałe. Dość zatem mieć dobrą pamięć i „trzymać się podręcznika”, żeby wedle przyjętego mniemania osiąść to wszystko, co jest potrzebne do dobrej gry. Atoli dopiero w szczegółach, które wybiegają poza obręb reguł, przejawia się pomysłowość analityka. W milczeniu gromadzi on spostrzeżenia i wnioski. Być może, iż w podobny sposób postępują także jego towarzysze, zaś różnicę w nabytej przez nich znajomości rzeczy stanowi nie tyle wartość wniosków, co jakość spostrzeżeń. Najważniejszą rzeczą jest wiedzieć, co należy obserwować. Nasz gracz nie ogranicza się tylko do siebie i jakkolwiek gra jest przedmiotem jego uwagi, nie pomija wniosków z rzeczy, które z grą nie mają nic wspólnego. Przygląda się twarzy swego partnera i porównywa jej wyraz starannie z wyrazem każdego z jego przeciwników. Zastanawia się nad sposobem rozdawania kart przez każdego partnera i często ze spojrzeń, rzucanych na karty, liczy kolejno wszystkie atuty i wszystkie honory. Zwraca uwagę na wszystkie zmiany, jakie zachodzą w wyrazach twarzy w miarę

postępu gry, gromadząc zasób myśli z naprzemiennych przejawów pewności siebie, niespodzianki, tryumfu lub przygnębienia. Ze sposobu zagarniania lewy wnioskuje, czy zagrywającemu uda się wziąć następną. Poznaje kartę zagraną na podrywkę ze sposobu rzucenia jej na stół. Mimowolne lub nierozważne słowo; przypadkowo odwrócona lub upuszczona karta, którą podnosi się pośpiesznie lub niedbale; liczenie lew oraz porządek, w jakim je się układa; zakłopotanie, wahanie, zapalczywość lub lękliwość - wszystko to objaśnia go o istotnym stanie rzeczy i sprzyja jego przenikliwości, na pozór intuicyjnej. Po dwu lub trzech pierwszych kolejkach wie on już dokładnie, co jest w czyich rękach, i może odtąd wygrywać swe karty z taką ścisłością zmierzając do celu, jak gdyby wszyscy inni gracze pokazali mu swoje.

Zdolności analitycznej nie należy mieszać ze zwykłą bystrością, gdyż o ile analityk jest nieodzownie bystry, o tyle człowiek bystry bywa często najzupełniej niezdolny do analizy. Zręczność konstruktywna lub kombinacyjna - którą ta bystrość zazwyczaj się objawia i której frenologowie wyznaczili (zdaniem moim błędnie) osobny narząd, uważając ją za władzę pierwszorzędną - spotykana jest tak często u osobników, których intelekt graniczy poza tym z matołkowatością, iż zwróciło to już powszechną uwagę psychologów. Między bystrością a uzdolnieniem analitycznym istnieje, zaiste, znacznie większa różnica aniżeli między fantazją a wyobraźnią, aczkolwiek co do charakteru są one najzupełniej podobne. Jakoż można sprawdzić, iż ludzie bystrzy powodują się zawsze fantazją, gdy ludzie uposażeni istotną wyobraźnią stale bywają analitykami.

Opowieść następująca będzie dla czytelnika niejako komentarzem rozwidniającym zasady co tylko wyluszczone.

Spędzając w Paryżu wiosnę i część lata 18.. r. zawarłem znajomość z niejakim C. Augustem Dupinem. Wytworny ten młodzieniec pochodził z poważnej - ba, nawet znakomitej rodziny, atoli całe mnóstwo niepomyślnych wydarzeń pograżyło go w takim ubóstwie, iż ugięła się moc jego charakteru i przestał torować sobie drogę w życiu, nie troszcząc się już o odzyskanie swych majątkości. Uprzejmość wierzycieli pozostawiła mu niewielkie szczęty dziedzicznego mienia. Były one dla niego źródłem dochodów, które przy zachowaniu najściślej oszczędności, wystarczały mu na najkonieczniejsze potrzeby życia, a o rzeczy zbyteczne zgoła się nie troszczył. Toteż książki były jedynym jego zbytkiem, o który w Paryżu nietrudno.

Spotkaliśmy się po raz pierwszy w podrzędnej księgarni przy rue Montmartre; poszukiwaliśmy obaj tego samego, nadzwyczaj rzadkiego i cennego dzieła, i to nas zbliżyło. Później widywaliśmy się coraz częściej. Wielce zajęła mnie pewna historia z życia jego rodziny, o której opowiadał mi szczegółowo i najzupełniej szczerze, jak to zazwyczaj czynią Francuzi, gdy mówią o swych osobistych sprawach. Zadziwiła mnie wszechstronność jego odczytania, zaś przede wszystkim ujęła mnie za serce dziwna ognistość i bujna świeżość jego wyobraźni. Szukając w Paryżu pewnych rzeczy, które podówczas

jedynie mnie obchodziły, rozumiałem, iż towarzystwo takiego człowieka może stać się dla mnie bezcennym skarbem, i wyznałem mu otwarcie, co myślę o nim. Postanowiliśmy tedy, że będziemy żyli razem przez cały czas mego pobytu w stolicy; a ponieważ moje sprawy doczesne nieco mniej wtedy były zawile aniżeli jego, przeto podjąłem się wynająć i urządzić w stylu fantastycznej melancholii współczesnych naszych upodobań odwieczne i dziwaczne domostwo, opustoszałe od dawna skutkiem jakichś zabobonów - o które wcale nie dowiadywaliśmy się - chylące się do upadku i położone w ustronnej i odludnej połaci Faubourg St. Germain.

Gdyby wiedziano o trybie naszego życia w tym domu, bylibyśmy uważani za szaleńców - aczkolwiek, być może, za nieszkodliwych. Osamotnienie nasze było zupełne. Nikt u nas nie bywał. Zachowywaliśmy w najgłębszej tajemnicy miejsce naszego pobytu przed dawniejszymi moimi znajomymi. Dupin już wiele lat temu przestał znać kogokolwiek i być znany w Paryżu. Poprzestawaliśmy wyłącznie na sobie samych.

Dziwacznym wybrykiem (nie wiem zresztą, jak to nazwać) wyobraźni mojego przyjaciela było jego umiłowanie nocy dla niej samej; poddałem się spokojnie temu dziwactwu, podobnie zresztą jak wszystkim innym, zupełnie ulegając osobliwym jego zachciankom. Posępne bóstwo nie mogło przecież stale przebywać z nami, ale było w naszej mocy wywołać sztucznie jego obecność. Z pierwszym brzaskiem zamykaliśmy szczelnie okiennice naszej starożytnej rudery, po czym zapalaliśmy parę nasyconych wonnościami gromnic, jarzących się ogromnie nikłą i bladawą poświatą. Zagłębialiśmy się przy tym świetle w marzeniach, czytając, pisząc lub rozmawiając aż do chwili, kiedy zegar zwiastował nam nastanie rzeczywistej ciemności. Wziąwszy się wzajem pod ramię, zaprzepaszczailiśmy się wtedy w gmatwaninie ulic, snuliśmy dalej wątek naszych dziennych rozmów i wałęsaliśmy się do późnej nocy, szukając w igraszce światła i cieni ludnego miasta tej nieskończoności pobudzeń umysłowych, których doznać można jedynie przez spokojną obserwację.

W podobnych chwilach zastanawiała mnie i napełniała podziwem osobliwsza zdolność analityczna Dupina, aczkolwiek znając już jego szczodry idealizm, mogłem jej po nim się spodziewać. Zdawało się, iż wykazywanie jej - jeżeli nawet nie popisywanie się nią - sprawiało mu jakąś żywą rozkosz, której zresztą nie taił i przyznawał się otwarcie, że jest pod jej urokiem. Chełpił się przede mną głosem, w którym odzywał się poszmer radosnego śmiechu, iż większość ludzi miewa dla niego w swych piersiach okienka, i miał zwyczaj stwierdzać prawdziwość swoich słów bezpośrednimi zdumiewającymi dowodami dokładnej znajomości mej własnej natury. Zachowanie się jego w takich chwilach bywało oziębłe i roztargnione; oczy pozbywały się wyrazu; piękny, tenorowy jego głos przedzierzgał się w dyszkant i byłby się stawał niemal wyzywający, gdyby nie posiadał akcentu rozwagi tudzież ogromnej wyrazistości wysłowienia. Rozmyślając o tych jego właściwościach, pograżałem się nieraz w zadumie nad starodawną teorią Duszy Dwoistej i snulem marzenia

o Dupinie podwójnym - twórcy i analityku.

Niechaj nikt sobie nie wyobraża po tym, co powiedziałem, że zamierzam zgłębiać jakąś tajemnicę lub pisać powieść. To, co było godne zastanowienia w moim przyjacielu Francuzie, wynikało z inteligencji podnieconej do najwyższego stopnia a może nawet chorobliwej. Atoli przykład da lepsze wyobrażenie o charakterystycznych właściwościach jego ówczesnych spostrzeżeń.

Pewnej nocy szliśmy długą i brudną ulicą przebiegającą w pobliżu Palais Royal. Pograżeni w myślach nie przemówiliśmy do siebie ani słowa co najmniej przez jakieś piętnaście minut. Naraz Dupin przerwał milczenie słowami:

- Masz słuszność, to istny karzeł i nadawałby się raczej do Théâtre des Variétés.

- O tym chyba nikt nie wątpi - odparłem bezwiednie, nie zdając sobie zrazu sprawy (tak bardzo byłem pograżony w zadumie) ze szczególniejszej zgodności, jaka zachodziła między tymi słowami a moimi myślami. Lecz wnet opamiętałem się i moje osłupienie nie miało granic.

- Dupin - rzekłem poważnie - to przechodzi moje pojęcie. Wyznaję otwarcie, że jestem zdumiony i nie wiem, czy mam ufać moim zmysłom. Skąd ty możesz wiedzieć, że myślałem o...?

Nie dopowiedziałem umyślnie, by upewnić się, że wie istotnie, o kim myślałem.

- O Chantilly - rzekł. - Dlaczego nie kończysz? Pomyślałeś sobie, że jego niepozorna postać nie nadaje się do tragedii.

Właśnie dokoła tego tematu snuły się moje rozmyślania. Chantilly był podrzędnym szewczykiem z rue St. Denis, dostał bzika teatralnego, porwał się na rolę Kserksesa w tragedii Crébillona i stał się przedmiotem powszechnego pośmiewiska.

- Wyjaśnij mi, na miłość boską, metodę - zawołałem - jeżeli w tym jest taka metoda, za pomocą której zdołałeś przeniknąć mą duszę!

Istotnie byłem znacznie więcej stropiony, aniżeli chciałem mu to okazać.

- To przekupień z owocami - odparł mój przyjaciel - naprowadził cię na wniosek, że ten łatacz obuwia nie ma odpowiedniego wzrostu na Kserksesa *et id genus omne*¹.

- Przekupień! Co ty mówisz! Nie znam żadnego przekupnia!

- Człowiek, który wpadł na ciebie, gdyśmy skręcali w tę ulicę przed jakimiś piętnastu minutami.

Przypomniałem sobie istotnie jakiegoś niezdarnego przekupnia, który niósł na głowie wielki kosz jabłek i omal mnie nie przewrócił, gdyśmy skręcali z rue C... w bocznicę, na której zatrzymaliśmy się. Lecz co to miało wspólnego z Chantilly, nie mogłem żadną miarą zrozumieć.

W Dupinie nie było ani cienia szarlatanerii.

¹ et id genus omne (łac.) - i to jest cały rodzaj (przyp. red.).

- Wytlumaczę ci - powiedział. - Chcąc jednak, żebyś zrozumiał wszystko dokładnie, wyłuszcę ci przede wszystkim kolejny przebieg twoich rozmyślań od chwili, kiedy mówiłem do ciebie, aż do zderzenia z owym przekupniem. Dalsze ogniwa łańcucha są następujące: Chantilly, Orion, dr Nichols, Epikur, stereotomia, kamienie brukowe, przekupień.

Niewiele jest osób, które by w pierwszym okresie swego życia nie zabawiały się odnajdywaniem śladów, co je doprowadziły do takich lub owakich wniosków. Zajęcie to miewa niekiedy duże znaczenie; podejmując je po raz pierwszy, nie można się dość nadziwić pozornej niespójności i bezgranicznej oddali, która dzieli punkt wyjścia od celu. Jakież zatem było moje osłupienie, gdy usłyszałem słowa wypowiedziane przez Francuza i musiałem przyznać, że mówił prawdę. Tymczasem ciągnął on dalej:

- Pamiętam dokładnie, iż wychodząc z rue C... mówiliśmy o koniach. Był to ostatni przedmiot naszej rozmowy. Gdyśmy skręcili w ulicę, którą idziemy obecnie, jakiś przekupień z wielkim koszem na głowie, przechodząc spieszenie obok nas, popchnął cię na kupę kamieni, przygotowanych w tym miejscu do naprawy bruku. Nastąpiłeś na jakiś chwiejący się kamień, pośliznąłeś się, z lekka wywichnąłeś sobie nogę, wyglądałeś na podrażnionego czy rozgniewanego, mruknąłeś kilka słów, odwróciłeś się, by spojrzeć na kamienie, a potem szedłeś dalej w milczeniu. Nie zwracałem zbytnio uwagi na to, co robiłeś, ale obserwacja jest dla mnie ostatnio po prostu koniecznością.

Oczy utkwiełeś w ziemię i spoglądałeś jak gdyby gniewnie na koleiny i wyboje w bruku (a miałeś przy tym taką minę, iż mogłem wywnioskować, że wciąż jeszcze myślisz o kamieniach), aż doszliśmy do niewielkiej ulicy, zwanej Lamartine, wybrukowanej na próbę kostkami drewnianymi, ściśle i spoiście ze sobą połączonymi. Tu twarz ci się rozjaśniła, zauważyłem, że poruszasz ustami, i nie wątpiłem ani przez chwilę, że szepczesz słowo „stereotomia”, używane nader pretensjonalnie na określenie tego rodzaju bruku. Wiedziałem, że nie mógłbyś wymówić słowa „stereotomia”, nie pomyślawszy przy tym o atomach, a następnie o teoriach Epikura, ponieważ rozmawialiśmy niedawno o tym przedmiocie, przy czym zdarzyło mi się zauważyć, że luźne przypuszczenia znakomitego Greka, nie zwróciwszy niemal niczyjej uwagi, znalazły jednak przedziwne potwierdzenie w nowoczesnej kosmogonii mgławicowej, przeto wyczułem, że nie zdołasz się powstrzymać od spojrzenia na wielką mgławicę Oriona, i oczekiwałem na pewno, że to uczynisz. Jakoż spojrzałeś w górę; miałem więc wszelką pewność, że podążam istotnie twoim śladem. Zaś w złośliwej kpinie z Chantilly'ego, która pojawiła się we wczorajszym „Musée”, satyryk, czyniąc uszczypliwe aluzje do zmiany nazwiska przez szewca, co włożył koturny, przytacza wiersz łaciński, o którym niejednokrotnie zdarzało się nam rozmawiać. Mam na myśli wiersz:

*Perdidit antiquum littera prima sonum.*²

Powiedziałem ci, iż odnosi się on do Oriona, pierwotnie pisanego Urion, i z utarczki wywołanej tym wyjaśnieniem wyniosłem przeświadczenie, że nie mogłeś o tym zapomnieć. Było zatem rzeczą oczywistą, iż niezawodnie skojarzysz pojęcia Oriona i Chantilly'ego. Żeś je istotnie skojarzył, poznałem z uśmiechu, którym drgnęły twe usta. Myślałeś o unicestwieniu biednego szewczyka. Do tej chwili stąpałeś przygarbiony, lecz potem wyprostowałeś się w całej okazałości swego wzrostu. Nabrałem przeto pewności, że zastanawiasz się nad pokraczną figurką Chantilly'ego. Wówczas to przerwałem twą zadumę uwagą, że ten Chantilly to istny karzeł i że nadawałby się raczej do Théâtre des Variétés.

W jakiś czas potem, przeglądając wieczorne wydanie „Gazette des Tribunaux”, znaleźliśmy wzmiankę następującą:

NIEZWYKŁE ZABÓJSTWO. Dziś około godziny trzeciej z rana mieszkańców dzielnicy Saint Roch obudziły przeraźliwe krzyki rozlegające się, jak się zdawało, z czwartego piętra domu przy rue Morgue, zamieszkałego w całości przez niejaką Madarne L'Españaye oraz jej córkę, Mademoiselle Camille L'Españaye. Po niejakiej zwłóce, wywołanej daremnymi usiłowaniami, by wejść do domu w zwykły sposób, wyważono bramę drągiem żelaznym i ośmiu czy dziesięciu sąsiadów w towarzystwie dwu żandarmów wtargnęło do kamienicy. Tymczasem krzyki ucichły; kiedy jednak przybysze wdarli się na pierwsze piętro dosłyszeli zawziętą kłótnię dwu czy więcej chrapliwych głosów, które zdawały się dolatywać z górnej części domu. Gdy weszli na drugie piętro, zgiełk ten również ustał i zaległa zupełna cisza. Obecni rozproszyli się, przetrząsając pokój po pokoju. Gdy dotarli do obszernej komnaty położonej od tyłu na czwartym piętrze i wyważyli drzwi zamknięte na klucz od wewnątrz, ukazał się im widok przejmujący zarówno grozą, jak osłupieniem.

Pokój znajdował się w najdzikszym nieładzie: meble były pogruchotane i porozrzucane na wszystkie strony. Było tam tylko jedno łóżko, z którego pościel wyjęto i rzucono na posadzkę. Na krześle leżała brzytwa, zbroczone krwią. W kominku spostrzeżono dwa czy trzy długie i grube pasma siwych, ludzkich włosów, które były także okrwawione i wyglądały, jak gdyby mocnym szarpnięciem wyrwano je wraz z korzonkami. Na posadzce znaleziono cztery napoleony, kolczyk z topazem, trzy duże łyżki srebrne, trzy mniejsze z tak zwanego *métal d'Algér* oraz dwie sakiewki, zawierające prawie cztery tysiące franków w złocie. Szuflady komody stojącej w kącie były otwarte i, jak się zdaje, ograbione, aczkolwiek pozostało w nich jeszcze wiele przedmiotów. Niewielką żelazną szkatułkę znaleziono pod pościelą (nie pod łóżkiem). Była

² Perdidit antiquum... (łac.) - Pierwsza litera straciła dawne brzmienie (przyp. red.).

otwarta; klucz tkwił jeszcze w zamku. Nie było w niej nic prócz kilku starych listów tudzież kilku innych, niezbyt ważnych papierów.

Śladów Madame L'Esplanaye niepodobna było zrazu odszukać, wszelako zauważono niezwykłą ilość sadzy na palenisku, zaczęto szukać w kominie i w końcu (strach powiedzieć!) wydobyto stamtąd trupa jej córki, wtłoczonego przez ciasny otwór głową na dół i wsuniętego dość znacznie w górę. Zwłoki były jeszcze zupełnie ciepłe. Przy badaniu okazało się, że skóra była w wielu miejscach pocierana, co było bez wątpienia następstwem silnego wtłaczania i nie mniej z kolei silnego wyciągania trupa z komina. Twarz była mocno podrapana, a na szyi widniały ciemne sińce i głębokie ślady paznokci, jak gdyby zmarła padła ofiarą uduszenia.

Po najstaranniejszym przetrząśnięciu całego domu, które jednakże nie dostarczyło żadnych dalszych poszlak, zebrani wybiegli na niewielkie brukowane podwórze, okalające budynek od tyłu. Leżały tam zwłoki staruszki, której szyja była przecięta tak głęboko, iż kiedy chciano trupa podnieść, głowa odpadła od tułowia. Całe ciało wraz z głową było straszliwie pokaleczone i zaledwie zachowało podobieństwo kształtów ludzkich.

Do rozwikłania tej okropnej tajemnicy nie ma dotychczas, o ile nam wiadomo, żadnych poszlak.

Nazajutrz w tymże samym dzienniku znajdowały się następne szczegóły dodatkowe:

TRAGEDIA PRZY RUE MORGUE. Przesłuchano wiele osób celem wyświetlenia tej osobliwej i przerażającej zbrodni, wszelako nie dowiedziano się niczego, co by mogło dostarczyć jakichkolwiek poszlak. Podajemy poniżej zeznania świadków.

Paulina Dubourg, praczka, zeznaje, iż od trzech lat znała obie nieboszczki, gdyż najmowały ją do prania. Wzajemne stosunki między staruszką a jej córką były, jak się zdaje, dobre - kochały się bardzo. Płaciły hojnie. Nie może nic powiedzieć o ich sposobie życia ani o środkach utrzymania. Przypuszcza, że Madame L'Esplanaye dla zarobku trudniła się wróżbiarstwem. Mówiono o niej, że zebrała oszczędności. Praczka nie spotykała nigdy w tym domu nikogo, gdy zabierała lub odnosiła bieliznę. Wie na pewno, iż nie było tam służby. Zdaje się jej, że - prócz czwartego piętra - mebli nie było w całym domu.

Piotr Moreau, właściciel sklepiku z tytoniem, zeznaje, iż od niespełna czterech lat dostarczał Madame L'Esplanaye niewielkich ilości tytoniu i tabaki. Urodził się w sąsiedniej dzielnicy i stale w niej mieszka. Nieboszczka oraz jej córka od przeszło sześciu lat mieszkały w domu, w którym znaleziono ich zwłoki. Poprzednio zajmował go pewien jubiler, który odnajmował górne piętra

różnym osobom. Dom był własnością Madame L'Esplanaye. Niezadowolona z lokatora, który rujnował jej kamienicę, sprowadziła się na jego miejsce sama i przestała odtąd wynajmować mieszkania. Staruszka była dziecinniała. Świadek widział jej córkę może pięć czy sześć razy przez całe sześć lat. Obie żyły nadzwyczaj samotnie - i uchodziły za bogate. Sąsiedzi mówili, jakoby Madame L'Esplanaye zajmowała się wróżbiarstwem - ale on temu nie wierzył. Nie zdarzyło mu się widzieć, by ktokolwiek wchodził do bramy tego domu prócz staruszki i jej córki, ponadto zachodził tam ze dwa razy jakiś posługacz i z osiem lub dziesięć razy lekarz.

Wiele innych osób z sąsiedztwa potwierdza powyższe zeznania. Nie widywano nigdy, by ktokolwiek bywał w tym domu. Nikt nie wiedział, czy Madame L'Esplanaye i jej córka miały jakich krewnych. Okienne od strony frontowej rzadko stały otworem, od podwórka bywały zawsze zamknięte, prócz okiennic wielkiego pokoju położonego od tyłu na czwartym piętrze. Dom jest niezły i niezbyt stary.

Izydor Musèt, żandarm, zeznaje, iż wezwano go do tego domu około trzeciej z rana i że przed bramą zastał ze dwadzieścia lub trzydzieści osób, które chciały wejść do wnętrza. Otworzył ją w końcu bagnietem, a nie drągiem żelaznym. Przyszło mu to nietrudno, gdyż brama ta składa się z podwoi i nie była zamknięta na zasuwę ani od góry, ani od dołu. Krzyki trwały do chwili otwarcia bramy, po czym nagle ucichły. Były to jakby wrzaski jednej czy kilku osób katowanych - głośne i przeciągłe, a nie krótkie i urywane. Świadek wbiegł na schody. Na pierwszym piętrze usłyszał dwa głosy ścierające się w donośnej i gniewnej sprzeczce - jeden chrapliwy, drugi znacznie ostrzejszy - dziwny jakiś głos. Udało mu się rozróżnić kilka słów głosu pierwszego, który brzmiał z francuska. Nie był to na pewno głos kobiecy. Usłyszał słowa *sacré* i *diable*. Głos przenikliwy brzmiał z cudzoziemska. Nie jest pewny, czy był to głos męski, czy kobiecy. Słów nie mógł się dorozumieć, lecz przypuszcza, że były hiszpańskie. To, co świadek zeznaje o pokoju i zwłokach, nie różni się niczym od naszego opisu wczorajszego.

Henryk Duval, sąsiad, z zawodu złotnik, zeznaje, iż należał do osób, które jako pierwsze wtargnęły do domu. Potwierdza na ogół zeznania Museta. Kiedy wraz z innymi wpadł do sieni, zamknął bramę, by nie wpuścić tłumu, który jął się gromadzić mimo wczesnej godziny. Głos przenikliwy, zdaniem tego świadka, brzmiał z włoska. Na pewno nie był to głos Francuza. Nie jest pewien, czy był to głos męski. Mógł być także kobiecy. Świadek nie zna włoskiego języka. Nie mógł rozróżnić słów, lecz z intonacji odniósł wrażenie, że były wyrzeczone przez Włocha. Znał Madame L'Esplanaye i jej córkę. Często rozmawiał z nimi. Jest przekonany, że głos przenikliwy nie był głosem ani matki, ani córki.

Odenheimer, restaurator. Zgłosił się na świadka nie wzywany. Nie umie po francusku i był przesłuchiwany za pośrednictwem tłumacza. Pochodzi z Amsterdamu. Przechodził obok owego domu, kiedy rozległy się krzyki. Trwały

kilka minut - może do dziesięciu. Były przeciągłe i głośne - żalosne i rozdzierające. Należał do tych, którzy weszli do kamienicy. Potwierdził zeznania poprzednie, wszelako z jednym zastrzeżeniem. Jest pewien, że głos ostry był głosem mężczyzny - Francuza. Słów wyrzeczonych rozróżnić nie mógł. Były głośne i prędkie - brzmiały nierówno - jakby rzucane w trwodze i zarazem w gniewie. Głos był szorstki - nie tyle przenikliwy, co szorstki. Nie mógłby go nazwać głosem przenikliwym. Głos chrapliwy powtórzył kilkakrotnie *sacré, diable*, raz powiedział *mon Dieu*.

Juliusz Mignaud, bankier z firmy Mignaud et Fils, rue Deloraine. Jest starszym z braci Mignaudów. Madame L'Espanaye posiadała pewien kapitał. Miała w jego banku otwarty rachunek od wiosny roku... (od jakichś lat ośmiu).

Często składała w banku niewielkie sumy, nie wybierała natomiast nic. Dopiero na trzy dni przed swą śmiercią podjęła osobiście cztery tysiące franków. Pieniądze te wypłacono w złocie i polecono woźnemu, aby je odniósł do mieszkania Madame L'Espanaye.

Adolf Le Bon, woźny domu bankowego Mignaud et Fils, zeznaje, że w przeddzień zbrodni, około południa, odprowadzał Madame L'Espanaye do jej mieszkania, niosąc cztery tysiące franków w dwu woreczkach. Po otwarciu bramy ukazała się Mademoiselle L'Espanaye, która wzięła od niego jeden woreczek; drugi oddał staruszce, uklonił się i odszedł. Nie widział o tej porze na ulicy nikogo. Jest to zaułek bardzo odludny.

William Bird, krawiec, zeznaje, iż należał do tych, którzy weszli do kamienicy. Jest Anglikiem. Przebywa w Paryżu od dwu lat. Jeden z pierwszych wbiegł na schody. Słyszał, jak się kłóciły owe głosy. Głos chrapliwy brzmiał z francuska. Zdołał dosłyszeć kilka słów, ale nie wszystkie już pamięta. Słyszał wyraźnie *sacré* i *mon Dieu*. Doleciał go wówczas zgiełk, jak gdyby kilka osób się mocowało - była to niby bójka i szarpanina. Głos przenikliwy był bardzo donośny - donośniejszy niż chrapliwy. Jest pewien, że nie był to głos Anglika; raczej Niemca. Mógł to być głos kobiecy. Nie umie po niemiecku.

Czterech z wymienionych świadków na ponowne wezwanie oświadczyło, iż drzwi pokoju, w którym znaleziono zwłoki Mademoiselle L'Espanaye, były zamknięte na klucz od wewnątrz, kiedy ludzie nadbiegli. Panowała tam zupełna cisza - ani szmerów, ani jęków. Po wywaleniu drzwi nie zastano nikogo. Oba okna, zarówno frontowe, jak tylne, były szczelnie zamknięte od wewnątrz. Drzwi prowadzące z pokoju do pokoju były zamknięte, ale nie na klucz. Drzwi, którymi wychodziło się z pokoju frontowego na korytarz, były zamknięte na klucz, który tkwił od wewnątrz. Pokoik frontowy na czwartym piętrze, u wejścia na korytarz, stał otworem; drzwi były uchylone, pełno w nim było starych łóżek, kufrów i tym podobnych przedmiotów. Poodsuwano je i przetrząsnęto bacznie. Przeszukano jak najstaranniej cal po calu wszystkie części domu. Polecono przetrzeć miotłami kominy. Dom był czteropiętrowy i miał pokoje na poddaszu. Drzwiczki prowadzące na dach były przybite mocno gwoździami i prawdopodobnie nie otwierane od lat. Czas, jaki upłynął od chwili, kiedy

usłyszano spierające się głosy, do wyłamania drzwi od pokoju, był różnie podawany przez świadków. Wedle jednych wynosił nie więcej niż trzy minuty, wedle innych przeszło pięć. Drzwi wyważono z niemałą trudnością.

Alfonzo Carcio, przedsiębiorca pogrzebowy, zeznaje, iż mieszka przy rue Morgue. Pochodzi z Hiszpanii. Należał do tych, którzy weszli do kamienicy. Na schody nie wchodził. Jest nerwowy i obawiał się następstw podniecenia. Słyszał kłótnię głosów. Głos chrapliwy był głosem Francuza. Słów rozróżnić nie mógł. Głos przenikliwy brzmiał z angielska - jest tego pewien. Nie zna języka angielskiego, ale sądzi z intonacji.

Alberto Montani, cukiernik, zeznaje, iż jako jeden z pierwszych wbiegł na schody. Słyszał owe głosy. Głos chrapliwy był głosem Francuza. Rozróżnił kilka słów. Były to jakby napomnienia. Słów przenikliwego głosu nie dosłyszał. Był on przyśpieszony i nierówny. Sądzi, że był to głos Rosjanina. Zeznania innych świadków na ogół potwierdza. Jest Włochem. Nie rozmawiał nigdy z rodowitym Rosjaninem.

Kilku świadków, zapytywanych ponownie, zeznaje, iż we wszystkich pokojach czwartego piętra kominy były za wąskie, by mogły przepuścić istotę ludzką. Miotły, o których mówili poprzednio, były to walcowate szczotki, używane przez kominiarzy. Szczotki te przeciągano przez wszystkie dymniki. Nie ma tylnego wyjścia, którym by mógł ktoś uciec, gdy ludzie wbiegli na schody. Zwłoki Mademoiselle L'Españaye były tak mocno wtłoczone w komin, iż zdołało je wyciągnąć dopiero kilka osób.

Paweł Dumas, lekarz, zeznaje, iż wezwano go do obejrzenia ciał nad ranem. Oba trupy leżały na łóżku w pokoju, w którym znaleziono Mademoiselle L'Españaye. Ciało dziewczyny znaczyły liczne otarcia i zmiżdżenia. Tłumaczą się one dostatecznie wtłoczeniem zwłok w komin. Skóra na szyi była zdarta. Tuż pod brodą widniało kilka głębokich zadraśnień oraz szereg zabiegłych krwią plam, które były niewątpliwie następstwem ucisku palców. Twarz była straszliwie bezbarwna; gałki oczne wysadzone na wierzch. Język był częściowo przecięty. W okolicy dołka podsercowego zaznaczał się ogromny siniec, wywołany prawdopodobnie uciskiem kolana. Wedle mniemania Monsieur Dumasa Mademoiselle L'Españaye została uduszona przez jedną lub kilka nieznaną osób. Ciało matki uległo potwornemu zniekształceniu. Wszystkie kości prawej nogi i ramienia były mniej lub więcej pogruchotane. Lewa goleń zmiżdżona, tak samo wszystkie żebra lewej strony. Całe ciało okropnie pokaleczone i zmienione. Niepodobna powiedzieć, w jaki sposób dokonano tych uszkodzeń. Ciężka pałka drewniana, wielki drąg żelazny, stołek, jakaś duża, ciężka i tępa broń - mogłyby wywołać takie następstwa, gdyby dostały się w ręce nadzwyczaj silnego mężczyzny. Kobieta nie zdołałaby zadać takich ciosów żadną bronią. Głowa zmarłej, gdy ją świadek zobaczył, była zupełnie oddzielona od tułowia i również pogruchotana.

Gardziel była przecięta jakimś ostrym narzędziem - prawdopodobnie brzytwą.

Aleksander Etienne, chirurg, wezwany wraz z Morisieur Dumasem do obejrzenia zwłok. Przytacza się do zeznania Monsieur Dumasa.

Ponadto nie dowiedziano się niczego ważniejszego, aczkolwiek przesłuchiowano jeszcze kilka innych osób. Równie tajemnicze i równie zawile w szczegółach zabójstwo nie zdarzyło się jeszcze dotychczas w Paryżu - jeżeli w ogóle może być mowa o zabójstwie. Policja zupełnie straciła głowę - niezwykle wypadek w sprawach podobnego rodzaju. Co prawda, nie ma ani cienia jakichkolwiek poszlak.

Wieczorne wydanie dziennika donosiło, iż w dzielnicy Saint Roch panuje w dalszym ciągu ogromne wzburzenie, że miejsce zbrodni poddano ponownemu starannemu badaniu, że zarządzono powtórne przesłuchanie świadków, lecz na darmo. Dopisek nadmieniał, iż aresztowano i uwięziono Adolfa Le Bon, aczkolwiek poza przytoczonymi już szczegółami nic nie przemawiało przeciw niemu.

Dupin zdawał się z niezmiernym zajęciem śledzić przebieg tej sprawy - tak przynajmniej sądziłem z jego zachowania, gdyż nie wspomniał o niej ani słowem. Dopiero po przeczytaniu wiadomości, że Le Bona uwięziono, zapytał mnie, co myślę o tej zbrodni.

Mogłem tylko podzielić zdanie całego Paryża, że jest to niedocieczona tajemnica. Nie pojmowałem zgola, w jaki sposób można by wytropić zabójcę.

- Nie należy wnioskować o sposobach - rzekł Dupin - z tego powierzchownego śledztwa. Policja paryska, którą tak bardzo wychwala się za jej przenikliwość, jest przebiegła, nic więcej. Kieruje się w swym postępowaniu tylko metodą dyktowaną przez okoliczności. Lubi popisywać się rozległością swych zarządzeń, ale niejednokrotnie są one tak niewłaściwie zastosowane do sprawy, o którą chodzi, iż przypomina się wyrażenie Monsieur Jourdaina, który domagał się swej *robe de chambre - pour mieux entendre la musique*³. Wyniki przez nią osiągnięte bywają nieraz zdumiewające, lecz przeważnie są one owocem zwyczajnej zapobiegliwości i sprężystości. Gdzie te zalety nie wystarczają, system zawodzi. Vidocq, na przykład, miał zmysł śledczy i dużą wytrwałość. Ale nie wyćwiczony w myśleniu, popełniał nieustannie błędy, wynikające właśnie z usilności jego śledczych poszukiwań. Umniejszył swą zdolność widzenia, patrząc na przedmioty z nazbyt bliskiej odległości. Był snadź zdolny dostrzec jeden lub dwa szczegóły z niepospolitą bystrością, lecz skupiając uwagę na nich, tracił oczywiście z oczu rzecz w całości. Tak to bywa, gdy ktoś chce być za głęboki. Prawda nie zawsze znajduje się w studni. Toteż mniemam, iż poszlaki większej wagi leżą zawsze na wierzchu. Prawdy szuka się w dolinach, ale znajduje się ją na wysokościach gór. Przy badaniu ciał niebieskich objawiają się typowe źródła i właściwości błędów tego rodzaju.

³ robe de chambre... (fr.) - szlafroka, aby lepiej słuchać muzyki (przyp. red.).

Spoglądając na gwiazdę przelotnie - patrząc na nią ukośnie, mianowicie w ten sposób, iż zwraca się ku niej boczną częstkę siatkówki (znacznie wrażliwszą na słabe oddziaływanie światła niżeli jej ośrodek), dostrzega się ową gwiazdę dokładnie - ocenia się najwłaściwiej jej świetlistość, która słabnie w miarę, jak zwracamy ku niej spojrzenie na wprost. Wprawdzie w drugim wypadku pada na oko więcej promieni, ale za to w pierwszym istnieje subtelniejsza pobudliwość na wrażenia wzrokowe. Nadmierne pogłębienie osłabia i mąci jasność myśli. Jakoż byłoby rzeczą możliwą, że nawet Wenus znikłaby nam z roztoczy niebieskiej, gdybyśmy jęli śledzić ją z usilnością zbyt skupioną, zbyt wyteżoną, zbyt bezpośrednią.

Zastanówmy się nieco nad owymi zabójstwami, zanim ustalimy nasze poglądy. Śledztwo będzie dla nas rozrywką (w zestawieniu z tragizmem zdarzenia określenie to wydało mi się dziwaczne, ale nie rzekłem ani słowa), przy tym Le Bon wyświadczył mi raz pewną przysługę, za którą chciałbym się mu wywdzięczyć. Pójdziemy przyjrzeć się domostwu własnymi oczyma. Znam prefekta policji i sądzę, że otrzymamy bez trudu potrzebne pozwolenie.

Pozwolenia nam udzielono i udaliśmy się niezwłocznie na rue Morgue. Jest to jedna z owych nędznych przecznic, łączących rue Richelieu z rue Saint-Roch. Było już pod wieczór, gdyśmy tam przybyli, jako że owa dzielnica znajduje się w znacznej odległości od naszej. Dom odszukaliśmy z łatwością, gdyż po przeciwnej stronie ulicy wciąż jeszcze gromadziło się mnóstwo przechodniów gapiących się na zamknięte okiennice z bezmyślną ciekawością. Była to zwyczajna kamienica paryska z bramą wjazdową, obok której znajdowała się oszklona nisza, a w niej ruchome okienko, świadczące, że mieściła się tu *loge du concierge*. Zanim weszliśmy do bramy, chodziliśmy czas jakiś po ulicy i bocznym zaułkiem okrążyliśmy dom dokoła. Dupin przyglądał się mu i całemu otoczeniu z wyteżoną uwagą, ja natomiast nic ciekawego dostrzec nie mogłem.

Następnie zawróciliśmy, podeszliśmy ku domostwu od strony frontowej, zadzwoniliśmy i pokazaliśmy nasze upoważnienia agentowi, który nas wpuścił do wnętrza. Po schodach weszliśmy do pokoju, gdzie znaleziono zwłoki Mademoiselle L'Esplanaye i gdzie leżały jeszcze obie zmarłe. Nieładu, panującego w pokoju, nie tknięto, jak to zazwyczaj czyni się w podobnych wypadkach. Nie zauważyłem niczego więcej ponadto, o czym już czytałem w „Gazette des Tribunaux”. Dupin badał wszystko - nie wyłączając zwłok ofiar. Obejrzelśmy z kolei inne pokoje, a potem zeszliśmy na podwórze. Żandarm nie odstępował nas ani na krok. Śledztwo trwało do zmierzchu, po czym powróciliśmy do naszego mieszkania. Po drodze mój towarzysz wstąpił do biura jednego z pism codziennych.

Wspomniałem już, że mój przyjaciel miał mnóstwo dziwactw. *Je les ménageais*⁴ (wyrażam się po francusku, gdyż na to określenie nie mogę znaleźć

⁴ Je les ménageais (fr.) - Oszczędzałem je (przyp. red.).

odpowiednika). Strzeliło mu coś do głowy i nie chciał rozmawiać ze mną o owych zabójstwach aż do południa następnego dnia. Wówczas zagadnął mnie, czy nie zauważyłem niczego osobliwego na miejscu zbrodni.

Słowo „osobliwego” wymówił tak dziwnie, iż drgnąłem, sam nie wiedząc dlaczego.

- Nie, nic osobliwego - odparłem - przynajmniej nic innego, niż to, o czym obaj czytaliśmy w dzienniku.

- Lękam się - rzekł na to - iż „Gazette” nie wniknęła należycie w niewysłowiona grozę tego zdarzenia. Lecz dajmy pokój gazetarskiej, czczej gadaninie. Sądzę, iż ta tajemnica uchodzi za niemożliwą do rozwikłania właśnie z tego powodu, dla którego należałoby ją uważać za łatwą do rozwiązania - a mianowicie z powodu niesłychaności swych objawów. Policję stropił oczywisty brak motywów nie samego zabójstwa, lecz okrucieństwa tegoż zabójstwa. Wprawiała ją również, w zakłopotanie pozorna niemożliwość pogodzenia kłótni owych głosów z tą okolicznością, iż na górze nie znaleziono nikogo prócz nieżywej Mademoiselle L’Espanaye oraz że niepodobna było umknąć stamtąd bez wiedzy osób wbiegających na schody. Dziki nieład w pokoju; zwłoki, wtłoczone głową w dół w komin; straszliwie pokaleczone ciało staruszki - te okoliczności, skojarzone z już przytoczonymi, jako też tymi, o których mówić nie potrzebuję, wystarczyły, by ubezwładnić władze i zmylić najzupełniej sławioną przenikliwość agentów państwowych. Popełnili oni grubą, lecz pospolitą pomyłkę pomieszania niezwykłości z niedocieczonością. Wszelako, właśnie dzięki tym odstępstwom od powszedniego porządku rzeczy, rozum może wysledzić drogę - o ile ona w ogóle istnieje - która wiedzie do prawdy. Prowadząc śledztwo takie, jak obecne, nie tyle należy zwracać uwagę na to, „co się stało”, ile na to, „czego dotychczas nigdy jeszcze nie było”. Jakoż łatwość, z jaką przeniknę lub już przeniknąłem tę tajemnicę, pozostaje w prostym stosunku do oczywistej niemożności jej rozwikłania w mniemaniu policji.

Patrzyłem na mówiącego z niemym osłupieniem.

- Oczekuję obecnie - mówił dalej, spoglądając ku drzwiom naszego pokoju - oczekuję obecnie osoby, która prawdopodobnie nie była sprawcą tej rzezi, ale w pewnej mierze musiała w niej uczestniczyć. Najcięższe brzemię odpowiedzialności za popełnione zbrodnie snadź na nią nie spada. Mam nadzieję, że moje przypuszczenia nie zawiodą, gdyż na nich to właśnie oparłem przewidywania, iż uda mi się rozwiązać całą zagadkę. Oczekuję tego człowieka tutaj - w tym pokoju - lada chwila. Może, co prawda, nie przyjdzie; istnieje jednakże prawdopodobieństwo, że przyjdzie. O ile by przyszedł, musi tu pozostać. Oto pistolety; a obaj wiemy, jak się z nimi obchodzić w razie potrzeby.

Wziąłem pistolety za ledwie wiedząc, co czynię, i niedowierzając niemal własnym uszom. Tymczasem Dupin mówił dalej, jak gdyby sam do siebie. Napomknąłem już o jego roztargnieniu w podobnych chwilach. Zwracał swe słowa do mnie, ale głos jego, acz bynajmniej nie donośny, miał tę intonację,

jakiej używa się zazwyczaj mówiąc do kogoś na znaczną odległość. Oczy jego straciły wyraz i patrzyły tylko na ścianę.

- Iż spierające się głosy, które słyszeli ludzie na schodach, nie były głosami owych kobiet, to w zupełności wykazało dochodzenie. Nie może być zatem mowy o pytaniu, czy przypadkiem staruszka nie zabiła najpierw córki, a potem nie popełniła samobójstwa. Poruszam tę wątpliwość jedynie ze względu na metodę, gdyż siły Madame L'Esplanaye nie mogłyby żadną miarą podolać tak silnemu wtłoczeniu trupa córki w otwór komina; ponadto rodzaj ran na jej własnym ciele nie dopuszcza zupełnie myśli o samobójstwie. Zabójstwo to popełniły zatem jakieś istoty trzecie i właśnie kłótnia tych trzecich była słyszana przez ludzi na schodach. Niechaj mi będzie wolno zwrócić teraz twoją uwagę nie na całość zeznań, dotyczących owych głosów, lecz na pewną osobliwość tych zeznań. Czy nie zauważyłeś w nich niczego osobliwego?

Odpowiedziałem, że o ile wszyscy świadkowie przypuszczali zgodnie, iż głos chrapliwy był głosem Francuza, o tyle różnili się wielce co do głosu przenikliwego, który jeden z nich nazwał szorstkim.

- To było oczywiście - rzekł Dupin - ale nie na tym polegała osobliwość tej oczywistości. Nie zauważyłeś rzeczy najznamienniejszej; a jednak można ją zauważyć. Świadkowie, jak powiedziałeś, nie różnili się co do głosu chrapliwego; zeznali zgodnie. Natomiast o ile chodzi o głos przenikliwy, istnieje pewna osobliwość; polega ona nie na rozbieżności zeznań, lecz na tym, iż Włoch, Anglik, Hiszpan, Holender i Francuz, kiedy chcieli go określić, wszyscy wyrażali się o nim jako o głosie cudzoziemca. Każdy z nich jest pewien, że nie był to głos ziomka. Każdy porównywa go nie z głosem przedstawiciela obcego narodu, którego język jest mu znany, lecz wręcz przeciwnie. Francuz przypuszcza, że był to głos Hiszpana, i „mógłby był rozróżnić niektóre słowa, gdyby umiał po hiszpańsku”. Holender utrzymuje, że był to głos Francuza, wszelako stwierdzono, że świadek ten nie umie po francusku i był przesłuchiwany za pośrednictwem tłumacza. Anglikowi się zdaje, że był to głos Niemca, ale nie zna języka niemieckiego. Hiszpan „jest pewien”, że „brzmiał z angielska”, lecz „sądzi z intonacji”, gdyż nie zna języka angielskiego. Włoch mniema, że był to głos Rosjanina, lecz nie rozmawiał nigdy z rodowitym Rosjaninem. Drugi Francuz różni się od pierwszego i wie na pewno, że był to głos Włocha, wszelako nie znając włoskiego języka, „odnosi wrażenie” - podobnie jak Hiszpan - „z intonacji”. Otóż jak dziwnie niezwykle musiał być ten głos, skoro takie o nim zebrano zeznania - skoro w jego tonach mieszkańcy pięciu wielkich pałaców Europy nie mogli dosłyszeć niczego swojskiego! Mógłbyś odpowiedzieć, że może był to głos Azjaty lub Afrykanina. Azjatów i Afrykanów nie ma zbyt wielu w Paryżu; atoli, nie przecząc tej możliwości, chciałbym zwrócić twą uwagę na trzy punkty. Jeden ze świadków określa głos ten jako „raczej szorstki niż przenikliwy”. Dwu innych wyraża się o nim, że był „przyśpieszony i nierówny”. Żaden z nich nie mógł rozróżnić ani słów, ani dźwięków, które by były do słów podobne. Nie wiem - ciągnął dalej Dupin - co

myślisz o dotychczasowych mych wywodach, lecz mimo to nie waham się twierdzić, że uzasadnione wnioski bodaj z tej części zeznań - mianowicie części dotyczącej głosu chrapliwego i przenikliwego - już wystarczają, by powziąć podejrzenie, które winno by stać się myślą przewodnią dalszych dochodzeń w tej tajemniczej sprawie. Powiedziałem: wnioski uzasadnione, ale zwrot ten nie odpowiada w zupełności mojemu mniemaniu. Chciałem zaznaczyć, iż tylko te wnioski są słuszne i że to podejrzenie jest ich nieodzownym następstwem jako jedyny ich wynik. Nie powiem ci jednak od razu, na czym podejrzenie owo polega. Chciałbym tylko przekonać ciebie, że to podejrzenie było najzupełniej wystarczające, by nadać poszukiwaniom moim na miejscu zbrodni pewną dążność - określoną celowość.

Przenieśmy się teraz myślą do owego pokoju. Czegóż będziemy tam szukali? W jaki sposób zdołali ująć zabójcy? Byłoby chyba rzeczą zbyteczną nadmieniać, że obaj nie wierzymy w zdarzenia nadprzyrodzone. Madame i Mademoiselle L'Españaye nie zginęły z ręki duchów. Sprawcy czynu byli materialni i umknęli w sposób najzupełniej materialny. Lecz jak? Na szczęście, w tej sprawie można rozumować tylko na jedną modłę, i to musi nas doprowadzić do ostatecznego rozstrzygnięcia. Zbadajmy kolejno wszystkie możliwe sposoby ucieczki. To pewne, iż zbójcy byli w pokoju, gdzie znaleziono Mademoiselle L'Españaye, lub może w pokoju sąsiednim, gdy tłum wbiegał na schody. Tylko w tych dwu pokojach należy zatem szukać wyjścia. Policja pozrywała posadzki, poobijała wszędzie w tynku sklepienia i ściany. Żadne wyjście tajne nie mogło ujść jej baczności. Nie dowierzając wszakże cudzym oczom, przyglądałem się wszystkiemu własnymi. Otóż nie ma tam ukrytego wyjścia. Dwoje drzwi, prowadzących z pokojów na korytarz, było mocno zamkniętych na klucz od wewnątrz. Przyjrzyjmy się kominom. Mają one zwykłą szerokość do wysokości jakichś ośmiu lub dziesięciu stóp ponad paleniskiem i nie zdołałby się przecisnąć przez nie nawet duży kot. Ująć jedną z dróg tylko co wymienionych jest rzeczą bezwarunkowo niemożliwą; pozostają więc tylko okna. Frontowymi nie mógł nikt umknąć, gdyż dostrzegłby go tłum zgromadzony na ulicy. Zabójcy uciekli zatem przez okna pokoju tylnego. Otóż doszedłszy w tak niezawodny sposób do tego wniosku, nie możemy pominąć go, jako zwolennicy ścisłego rozumowania, ze względu na pozorne niemożliwości. Pozostaje nam tylko dowieść, że te pozorne „niemożliwości” bynajmniej nimi nie są.

W pokoju tym są dwa okna. Jedno z nich nie jest zastawione meblami i jest całkiem widoczne. Dolną część drugiego zasłania szczelnie do niego przysunięte, wielkie wezglowie łóżka. Jak się okazało, pierwsze było mocno zamknięte od wewnątrz. Oparło się wszystkim wysiłkom osób, które chciały je podnieść. W lewej jego ramie zauważono wielki otwór wywiercony świdrem, a w nim duży gwóźdź, wbity niemal aż po łepiek. Przy oglądaniu drugiego okna dostrzeżono także gwóźdź wbity w podobny sposób; mimo wyężenia wszystkich sił nie udało się go również podnieść w górę. Policja była zatem

najzupełniej przekonana, iż ucieczka nie nastąpiła w tym kierunku. I dlatego wydało się rzeczą zbyteczną wyjąć gwoździe i otworzyć okna.

Moje badania były nieco szczegółowsze, a to z powodów tylko co przytoczonych - mianowicie wiedziałem, iż chodzi o to, aby wykazać, że wszystkie pozorne niemożliwości bynajmniej niemożliwymi nie są.

Rozumowałem przeto dalej *à posteriori*. Zabójcy uszli przez jedno z tych okien. Uczyniwszy to, nie mogli z powrotem przytwierdzić ram od wewnątrz, jak je zastali przytwierdzone. Było to tak oczywiste, że położyło kres dalszym badaniom policyjnym w tym zakresie. A jednak ramy były przytwierdzone. Musiały zatem zamykać się same. Wniosku tego uniknąć nie było podobna. Podszedłem do okna niezastawionego, wyciągnąłem gwoździe z niejaką trudnością i próbowałem podnieść je w górę. Oparło się wszystkim moim wysiłkom, jak zresztą przewidywałem. Pojąłem tedy, iż musi istnieć ukryta sprężyna; to potwierdzenie mojej myśli zasadniczej przekonało mnie co najmniej o słuszności moich założeń, aczkolwiek wciąż jeszcze niejasna była sprawa gwoździ. Staranne poszukiwania doprowadziły rychło do wykrycia tajnej sprężyny. Nacisnąwszy ją i zadowolony się odkryciem, nie uważałem już za potrzebne podnosić okna.

Włożyłem następnie gwoździe z powrotem na jego miejsce i przyglądałem się mu uważnie. Osoba, wychodząca przez okno, mogła je zamknąć i sprężyna byłaby chwyciła; ale gwoździe nie było można umieścić z powrotem. Wniosek był ścisły i znów zwęził zakres moich poszukiwań. A więc zabójcy musieli ująć przez drugie okno. Wychodząc z założenia, iż sprężyny u obu okien były takie same, trzeba było przyjąć, iż zachodziła różnica między gwoździami lub przynajmniej między sposobami ich wbicia. Stanąwszy na łóżku, uważnie przyglądałem się sponad wezglowia ramie okiennej. Przesunąwszy następnie raka poza skraj łóżka, z łatwością odszukałem i nacisnąłem sprężynę, która - jak przypuszczałem - nie różniła się niczym od sąsiedniej. Przyjrzałem się potem gwoździowi. Był tak samo duży jak poprzedni i wbity na pozór w ten sam sposób, niemal aż po łeppek.

Zapewne wyobrażasz sobie, iż byłem zakłopotany; jeżeli jednak sądzisz w ten sposób, to chyba nie zdajesz sobie sprawy z natury moich wnioskowań. Mówiąc gwarą myśliwską, nie „zmyliłem tropu ani razu”. Węch nie zawiódł mnie ani na chwilę. Nie było skazy na żadnym ogniwie łańcucha. Prześledziłem tajemnicę aż do jej krańcowego punktu, a tym punktem był ów gwoździe. Jak już wspominałem, nie różnił się on niczym w wyglądzie od gwoźdza z drugiego okna. Wszelako nie miało to żadnego znaczenia (jakkolwiek wydawało się zakończeniem wszystkiego) w porównaniu z przeświadczeniem, że punkt ten był kresem ostatecznym. „Coś tu musi być nie w porządku - powiedziałem sobie - z tym gwoździem”. Dotknąłem go i główka wraz z całowym odłamkiem została mi w palcach. Reszta ułamanego gwoźdza pozostała w wywierconym otworze. Złamanie musiało nastąpić już dawno (gdyż brzegi pokrywała rdza) i pochodziło zapewne od uderzenia młota, które zagłębiło częściowo łeppek w

brzegu ramy. Włożyłem znowu odłamek gwoździa, zakończony główką, starannie w zagłębienie, z którego go wyjąłem, i podobieństwo do gwoździa całkowitego było zupełne - złamania nie było widać. Nacisnąwszy sprężynę, podniosłem z lekka ramę na kilka cali w górę; główka gwoździa uniosła się wraz z nią, lecz ani nie drgnęła w swym łożysku. Zamknąłem okno i podobieństwo do nie naruszonego gwoździa znów było zupełne.

Powiodło mi się zatem dokonać rozwiązania zagadki. Zabójca uciekł przez okno przytykające do łóżka. Nie wiadomo, czy po jego ucieczce zatrzasnęło się samo, czy też zatrzasnęła je czyjaś ręka; to pewne, iż sprężyna zaskoczyła na swe miejsce. I ona to przytrzymała okno, a nie gwóźdź, jak mylnie sądziła policja, uważając z tego powodu dalsze dochodzenie za niepotrzebne.

Nasunęło się z kolei zagadnienie, w jaki sposób zabójca spuścił się na dół. Rozwiązałem je przechadzając się z tobą dokoła domu. Na jakie półszóstą stopy od owego okna przebiega lina druciana od gromochronu. Z liny tej niepodobieństwem jest dosięgnąć okna ani też wejść na nie. Zauważyłem jednakże, iż okiennice czwartego piętra są tego szczególniejszego rodzaju, który stolarze paryscy nazywają *ferrades*; okiennic takich rzadko używa się obecnie, ale widuje się je często w prastarych domostwach Lyonu i Bordeaux. Mają one kształt zwyczajnych drzwi (całkowitych, a nie złożonych z podwoi), od których różnią się tylko tym, iż część dolna jest powyrzynana na wylot, podobnie jak dzierzgana krata, i dzięki temu stanowi doskonałe oparcie dla rąk. W wypadku, o którym mowa, szerokość okiennic wynosi przeszło pół-czwartej stopy. Gdyśmy patrzyli na nie z dołu, były obie uchylone do połowy, to znaczy tworzyły z murem kąt prosty. Prawdopodobnie urzędnicy policyjni oglądali kamienicę także od tyłu, podobnie jak ja; jednakże patrząc na te *ferrades* od strony ich szerokości (bo nie mogli patrzeć inaczej), nie zwrócili uwagi na rozmiary tejsze szerokości lub - co na jedno wychodzi - nie wzięli ich należycie pod rozwagę. Przyszędłszy bowiem do przekonania, iż ucieczka z tej strony była niemożliwa, zadowolili się oczywiście tylko pobieżnym obejrzeniem. Dla mnie natomiast było rzeczą jasną, iż gdyby okiennicę od okna u wezgłowia łóżka odchylić aż do samego muru, to znalazłaby się ona o jakie dwie stopy od drucianej liny gromochronu. Zdawałem sobie również sprawę, iż istota, wyposażona niepoślednią przedsiębiorczością i odwagą, mogłaby w ten sposób przedostać się z owej liny na okno. Znalazłszy się bowiem w odległości półtrzeciej stopy (o ile przyjmujemy, że okiennica była otwarta w zupełności), złoczyńca mógł się uchwycić mocno dzierzganej kraty. Puściwszy się następnie liny, zaparłszy się nogami w ścianę i odepchnąwszy się od niej, mógł silnym szarpnięciem spowodować zamknięcie się okiennicy i wskoczyć do pokoju, jeżeli okno było podówczas otwarte.

„Pragnąłbym, byś przede wszystkim zapisał sobie głęboko w pamięci to, co powiedziałem o arcyniepospolitym stopniu energii, jaka była potrzebna do pomyślnego wykonania tak trudnego i karkołomnego przedsięwzięcia.

Zamierzam najpierw dowieść ci, iż było ono możliwe, następnie zaś - i o to głównie mi chodzi - zwrócić twoją uwagę na niesłychany i niemal nadnaturalny charakter zřeczności, która zdołała się go podjąć.

Powiesz zapewne, posługując się wyrażeniem prawniczym, iż chcąc „rozdać sprawę”, powinien bym raczej umniejszać znaczenie energii okazanej w tym wypadku, niż dokładać starań, aby wyszła na jaw w całej pełni. Być może, iż tak bywa w sądach, ale inne są wymagania rozumu. Moim ostatecznym celem jest czysta prawda. Bezpośrednim zaś moim zamierzeniem jest skłonić cię do zestawienia tej nader niezwyklej energii, o której przed chwilą wspomniałem, z owym arcyprzenikliwym (czy szorstkim) i nierównym głosem, którego narodowości nie zdołały oznaczyć zgodnie bodaj dwie osoby i w którego brzmieniu nikt nie mógł dosłyszeć podziału na głoski.

Pod wpływem tych słów mglista i jeszcze nie ukształtowana świadomość poglądu Dupina zaświtała mi w mózgu. Zdawało mi się, że jestem na pograniczu zrozumienia, wszelako zrozumieć nie mogłem, podobnie jak to bywa czasem z ludźmi, którzy wahają się już na skraju przypomnienia, a jednak w zupełności przypomnieć sobie nie są zdolni. Tymczasem mój przyjaciel mówił dalej:

- Jak widzisz, zagadnienie, w jaki sposób odbyła się ucieczka, przekształciłem w zagadnienie, jak nastąpiło wtargnięcie. Zamierzeniem moim było wykazać, iż zarówno wejście, jak wyjście dokonało się w ten sam sposób i na tym samym miejscu. Wróćmy teraz do wnętrza pokoju. Rozejrzyjmy się w jego wyglądzie. Szuflady komody rzekomo uległy grabieży, chociaż pozostało w nich jeszcze wiele przedmiotów wchodzących w skład kobiecego stroju. Wnioskowanie to jest niedorzeczne. To tylko przypuszczenie - niemądre przypuszczenie - nic więcej. Skądże wiadomo, iż przedmioty, znalezione w szufladach, nie stanowiły całkowicie pierwotnej ich zawartości? Madame L’Espanaye i jej córka żyły samotnie - nie bywały w towarzystwach - rzadko wychodziły z domu - nie miały potrzeby zmieniać często swych strojów. Te, które znaleziono, nie ustępowały bynajmniej jakością innej odzieży, stanowiącej własność tych pań. Jeżeli złoczyńca zabrał cokolwiek, to czemuż nie wziął rzeczy najcenniejszych - czemu nie zabrał wszystkich? Słowem, dlaczego porzucił cztery tysiące franków w złocie, a obarczył się pękiem bielizny? Złoto pozostało. Niemal całą sumę, o której wspomniał bankier, M. Mignaud, znaleziono w workach na posadzce. Pragnąłbym więc wyplenić z twych myśli bałamutną ideę zysku, wylęglą w mózgach policji pod wpływem zeznań o pieniądzech, doręczonych u bramy kamienicy. Zbieżności, dziesięciokrotnie ważniejsze od przytoczonej (doręczenie pieniędzy i zbrodnia, popełniona po upływie trzech dni na osobie, która je odebrała), zdarzają się co godzina w naszym życiu, a jednak nawet przelotnie nie zwracają na siebie niczyjej uwagi. Zresztą zbieżności są w ogóle wielkimi kamieniami obrazy, zawałającymi drogę tej kategorii myślicieli, którzy nie mają pojęcia o teorii możliwości - a jej to właśnie najszczytniejsze dziedziny badań ludzkich zawdzięczają chwałę swych

rozwidnień. Gdyby w wypadku, który nas obchodzi, złoto by znikło, to okoliczność doręczenia go na trzy dni przedtem byłaby czymś więcej niż zbieżnością. Stanowiłaby potwierdzenie owej idei zysku. Jeżeli wszakże, mając rzeczywisty stan rzeczy na uwadze, przypuścimy, iż złoto było powodem tej napaści, to musimy również przyjąć, że sprawca był do tego stopnia niezdara i matołkiem, iż wyrzekł się złota oraz motywu, który nim powodował.

Nie zapominając tedy ani przez chwilę o szczegółach, które ci wyłuszczyłem - a więc o owym osobliwym głosie, o nadzwyczajnej zręczności jako też o tym, iż ta wyjątkowo potworna zbrodnia wykazuje zastanawiający brak motywów - pozwól, iż przyjrzymy się z kolei samej rzezi. Oto czyjeś ręce zadławiły na śmierć kobietę i wtłoczyły ją w komin, głową na dół. Zbrodniarze zwyczajni nie posługują się podobnymi sposobami zabójstwa. Przede wszystkim zaś nie obchodzą się tak dziwnie ze zwłokami swych ofiar. Ze sposobu, w jaki wtłoczono trupa w przewód komina, wywnioskujesz przecie, iż zaszło coś bezgranicznie dziwnego - coś bezwarunkowo nie dającego się pogodzić z właściwym nam pojmowaniem czynności ludzkich, nawet w takim razie, jeżeli przypuścimy, iż sprawcy byli najostatniejszymi wyrzutkami ludzkości. Zastanów się ponadto, jak olbrzymia musiała być siła, która zdołała wtłoczyć zwłoki w przewód z taką mocą, iż zaledwo połączone wysiłki kilku osób zdołały je wydobyć z powrotem!

Zwróćmy następnie uwagę na inne oznaki tej nieuskromionej siły. Na palenisku znajdowały się grube pasma - bardzo grube pasma - siwych, ludzkich włosów. Wyrwano je wraz z korzonkami. Wiesz dobrze, jak znacznej siły potrzeba, by wyrwać naraz z głowy chociażby tylko dwadzieścia lub trzydzieści włosów. Widziałeś te kłaki tak samo, jak ja. U nasady (co za ohydny widok!) były pozlepiane krwawymi strzępami skóry - niezawodna oznaka zdumiewającej mocy, jakiej użyto, by wyrwać wraz z korzonkami za jednym zamachem jakie pół miliona włosów. Gardziel staruszki była w ten sposób przecięta, iż głowa po prostu odpadła od tułowia - a narzędziem była zwykła brzytwa. Pragnąłbym, byś uprzytomnił sobie zwierzęcą dzikość tych czynów. Obrażenia na ciele Madame L'Espanaye pominę. Monsieur Dumas i jego szanowny asystent, Monsieur Etienne, orzekli, iż zadano je jakimś tępym narzędziem, i mieli najzupełniejszą słusność. Owym tępym narzędziem był kamienny bruk podwórka, na które spadła ofiara z okna przytykającego do łóżka. Pomysł ten, choć na pozór najzupełniej zwyczajny, nie powstał w mózgach policji dla tego samego powodu, dla którego szerokość okiennic uszła tej uwagi: tak szczelnie zagwoździły jej zdolność pojmowania owe gwoździe, iż nie przypuszczała, by okna w ogóle mogły być otwierane.

Jeżeli na domiar wzięłeś należycie pod rozwagę cudaczny nieład w pokoju, to będziemy mieli wszystkie dane, by skojarzyć pojęcia przedziwnej zręczności, nadludzkiej siły, zwierzęcej dzikości, bezcelowej zbrodni, cudactwa, którego groteskowa groza nie ma nic wspólnego z człowieczeństwem, a także głosu, którego ton brzmiał obco w uszach ludzi wielu narodowości i był

najzupełniej pozbawiony wyraźnego i zrozumiałego podziału na zgłoski. Do jakiegoż zatem dochodzisz wniosku? Jakie wrażenie wywarłem na twej wyobraźni?

Dreszcz jakiś przebiegł moje ciało, gdy Dupin postawił mi to pytanie.

- Szaleniec - rzekłem - dopuścił się tego czynu; jakiś obłąkany maniak, co zbiegł z pobliskiego domu wariatów.

- Są okoliczności - odparł - które przemawiają za twoim zdaniem. Wszelako głosy szaleńców, nawet w chwilach najdzikszego ich rozpetania, nie dadzą się żadną miarą pogodzić z owym szczególniejszym głosem, zasłyszonym na schodach. Każdy wariat należy do jakiegoś narodu, a język jego, acz bezładny w słowach, wykazuje zawsze ład w zgłoskowaniu. Ponadto włosy szaleńców różnią się od tych, które w tej chwili trzymam w dłoni. Wyskubałem oto ten mały kosmyk z odrętwiałych i zaciśniętych palców Madame L'Esplanade. Powiedz mi, co sądzisz o nich?

- Dupin! - rzekłem, wstrząśnięty do głębi - to jakieś dziwne włosy - to nie są ludzkie włosy!

- Bynajmniej tego nie utrzymywałem - odezwał się - zanim jednak coś o nich postanowimy, chciałbym, byś rzucił okiem na rysunek, skreślony przeze mnie na tym oto papierze. Jest to rysunkowa podobizna tego, co jedni świadkowie określili jako „ciemne sińce i głębokie ślady paznokci” na gardzieli Mademoiselle L'Esplanade, inni zaś (mianowicie Messieurs Dumas i Etienne) jako „szereg nabiegłych krwią plam, które były niewątpliwie następstwem ucisku palców”.

- Jak widzisz - mówił dalej mój przyjaciel, rozpościerając papier na stole - rysunek ten daje wyobrażenie krzepkiego i pewnego chwytu. Jakichkolwiek ześliznień nie widać. Każdy palec wytrzymał - prawdopodobnie aż do zgonu ofiary - w straszliwym ucisku, z jakim pierwotnie się zagłębił. Spróbujże teraz umieścić od razu swe palce w odpowiednich śladach, które tu masz zaznaczone.

Spróbowałem, ale nadaremnie.

- Być może, iż zabieramy się do rzeczy w niewłaściwy sposób - powiedział. - Papier ten leży na powierzchni płaskiej, a gardziel ludzka jest walcowata. Oto walec drewniany, który ma ten obwód, co szyja ludzka. Owiń dokoła niego rysunek i spróbuj raz jeszcze.

Postąpiłem wedle jego wskazówek, lecz trudność jeszcze się wzmożła.

- Nie, to nie są ślady ręki ludzkiej - rzekłem.

- Przeczytajże teraz - odparł Dupin - ten ustęp z Cuviera. Był to drobiazgowy opis anatomiczny wielkiego brunatnego orangutana z Archipelagu Wschodnioindyjskiego. Olbrzymia postawa, niesłychana zręczność i siła, niepohamowana dzikość i właściwości naśladowcze tego ssaka są wszystkim dostatecznie znane. Pojąłem od razu całą potworność zabójstwa.

- Opis palców - powiedziałem skończywszy czytać - wykazuje najzupełniejszą zgodność z tym rysunkiem. Przekonywam się, że żadne inne zwierzę prócz orangutana z wymienionego tu gatunku nie mogło pozostawić

śladów uwidoczniionych na twoim rysunku. Także ten kosmyk brunatnej sierści odpowiada najzupełniej potworowi z opisu Cuviera. Wszelako żadną miarą nie mogę zdać sobie sprawy ze szczegółów tej przerażającej tajemnicy. Przy tym słyszano sprzeczkę dwu głosów, z których jeden był na pewno głosem Francuza.

- To prawda - i przypominasz sobie zapewne wykrzyknik, przypisywany przez świadków niemal jednomyślnie owemu głosowi; miał on brzmieć: *mon Dieu!* Słowa te, ze względu na towarzyszące okoliczności, słusznie określił jeden ze świadków (cukiernik Montani) jako wyraz wyrzutu czy upomnienia. Na nich to polegała przede wszystkim moja nadzieja zupełnego rozwiązania zagadki. Jakiś Francuz wiedział o tym zabójstwie. Jest rzeczą możliwą - a nawet więcej niż prawdopodobną, iż jest najzupełniej nie winien współudziału w krwawym dziele. Być może, iż orangutan mu uciekł. Być również może, iż podążył jego śladem, lecz wśród wstrząsających okoliczności, jakie tam nastąpiły, nie zdołał pojmać go z powrotem. Zwierzę jest jeszcze na wolności. Nie będę snuł dalej tych przypuszczeń, gdyż nie mam prawa odwoływać się do nich - jako mgławice rozumowań, które służą im za podstawę, sięgają zaledwie tak głęboko, iż mogą być ocenione tylko przez mój własny rozum; nie mogę zatem dążyć do uprzystępnienia ich zrozumieniu cudzemu. Nazywajmy je tedy tylko przypuszczeniami i nie uważajmy ich za nic innego. Jeżeli ów Francuz, jak mniemam, istotnie jest nie winien tego okrucieństwa, to ogłoszenie, które wczoraj wieczorem, gdyśmy wracali do domu, oddałem do zamieszczenia w redakcji „Le Monde” (dziennik poświęcony sprawom żeglarskim i czytany powszechnie przez marynarzy), powinno go sprowadzić w nasze progi.

NADZWYCZAJ DUŻEGO ORANGUTANA z gatunku żyjącego na Borneo schwytano wczesnym rankiem dnia... (tu następowała data morderstwa) w Bois de Boulogne. Właściciel jego (o którym wiadomo, iż jest marynarzem i należy do załogi statku maltańskiego) może go odebrać po dostatecznym stwierdzeniu tożsamości i uiszczeniu niewielkiego wynagrodzenia za schwytanie i żywienie zwierzęcia. Wiadomości zasięgnąć można pod nrem... przy rue..., Faubourg Saint-Germain, trzecie piętro.

- Skądże ty możesz wiedzieć - zagadnąłem - że ów człowiek jest marynarzem i należy do załogi maltańskiego statku?

- Toteż nie wiem tego - odparł Dupin. - Przynajmniej nie jestem pewien. Lecz spójrz, proszę cię, na ten strzęp wstążki, która - jak domyślam się z kształtu i zatłuszczonego wyglądu - służyła zapewne do wiązania włosów w owe długie harcapy, stanowiące chlubę marynarzy. Ponadto takiego węzła nikt nie zdoła zawiązać prócz marynarzy, w szczególności zaś Maltańczyków. Znalazłem tę wstążkę pod gromochronem. Nie należała na pewno do ofiar wypadku. Zresztą, jeżeli nawet się mylę, wnioskując z tej wstążki, iż ów

Francuz należy do załogi maltańskiego statku, to ogłoszenie moje nie wyrządzi przecież krzywdy nikomu. Gdybym pobłądził, pomyśli sobie po prostu, iż wprowadziła mnie w błąd jakaś okoliczność, i nie zechce trudzić się poszukiwaniem. Jeżeli natomiast mam słuszość, to wygrałem wielką stawkę. Wiedząc o zabójstwie, Francuz, acz niewinny, będzie się wahał, czy usłuchać wezwania - czy domagać się zwrotu orangutana. Będzie rozumował w ten sposób: jestem niewinny; jestem biedny; mój orangutan ma wielką wartość dla człowieka w moich warunkach to niemal majątek - czemuż mam go się pozbyć dla jakichś urojonych niebezpieczeństw? Jest do odebrania. Znalezione go w Bois de Boulogne - bardzo daleko od widowni krwawego wypadku. Czyż ktoś może przypuszczać, by nierozumne zwierzę było sprawcą tego czynu? Policja jest w błędzie - nie zdołała znaleźć najlżejszej poszlaki. Gdyby nawet wytropiono zwierzę, to jeszcze byłoby rzeczą niemożliwą dowieść mi, że wiem o zbrodni, lub poczytać mi za winę, że o niej wiedziałem. To jednak pewne, iż ktoś wie o mnie. Ogłoszenie w dzienniku wyraża się o mnie jako o właścicielu zwierzęcia. Nie jestem pewien, jak daleko te wiadomości sięgają. Jeżeli zaniedbam się upomnieć o tak cenną własność, o której wiadomo, że do mnie należy, to zwierzę może stać się przyczyną podejrzeń. Nie wyszłoby mi na dobre, gdyby zwrócono uwagę czy to na mnie, czy też na małpę. Pójdę za wezwaniem, odbiorę orangutana i będę go trzymał w zamknięciu, aż cała ta sprawa przycichnie.

W tej chwili usłyszeliśmy stąpanie na schodach. - Miej pistolety w pogotowiu - rzekł Dupin - ale ich nie pokazuj i nie strzelaj, dopóki nie dam znaku.

Brama domu stała otworem, przybysz wszedł przeto nie dzwoniąc i jął wstępować na schody. Wnet jednak jakby się zawahał. Po chwili począł schodzić na dół. Dupin szybko podbiegł ku drzwiom, wszelako tejże samej chwili nieznajomy zmienił kierunek; podążył znowu w górę. Nie zawrócił ponownie, lecz stąpał dalej stanowczym krokiem i zapukał w końcu do drzwi naszego pokoju.

- Proszę! - odezwał się Dupin pogodnym i serdecznym głosem.

Nieznajomy wszedł do pokoju. Był to niewątpliwie marynarz - człowiek rostry, barczysty i muskularny, z miną zadziwistą, jakby kpił sobie z wszystkich diabłów, nie pozbawioną jednak ujmującego wyrazu. Twarz jego, mocno opalona, zatracala się na poły w gęstwinie wąsów i bokobrodów. Dzierżył potężny kij dębowy, lecz nie miał zapewne przy sobie innej broni. Skłonił się niezgrabnie i powitał nas słowami: „dobry wieczór”, z francuskim akcentem, skażonym nieco neufchatelskim nalotem, lecz świadczącym mimo to dostatecznie o pochodzeniu paryskim.

- Proszę siadać - rzekł Dupin. - Przychodzi pan zapewne po swego orangutana? Niemal go panu zazdroszczę; daję słowo! Nadzwyczaj piękne i niewątpliwie bardzo cenne zwierzę. Jak pan przypuszcza, w jakim może być wieku?

Marynarz odetchnął głęboko, jak człowiek, któremu ciężki kamień spadł z serca, i odparł pewnym głosem:

- To trudno powiedzieć, lecz nie może mieć więcej niż cztery lub pięć lat. Czy ma go pan tutaj?

- O, nie, nie było tu dla niego pomieszczenia. Trzymam go w wynajętej stajni, tuż obok, przy rue Dubourg. Mogę go oddać panu jutro rano. Czy potrafi pan udowodnić, iż jest pańską własnością?

- To się rozumie.

- Nielatwo mi przyjdzie rozstać się z nim - odezwał się Dupin.

- Nie żądam przecie usług za darmo - rzekł nieznajomy. - Ani mi przez myśl nie przeszło coś podobnego! Zapłacę chętnie wynagrodzenie za schwywanie zwierzęcia - ma się rozumieć, umiarkowane.

- Zgoda! - odparł mój przyjaciel. - To bardzo pięknie z pańskiej strony. Czego by tu zażądać? Zaraz... już wiem. Moje wynagrodzenie będzie polegało na tym, iż dowiem się wszystkiego, co tylko pan wie, o zabójstwie przy rue Morgue.

Ostatnie słowa wyrzekł Dupin bardzo cicho i bardzo spokojnie. Z nie mniejszym spokojem podszedł do drzwi i zamknął je na klucz, który włożył do kieszeni. Po czym wyjął pistolet z zanadrza i nie śpiesząc się położył go na stole.

Marynarzowi krew uderzyła do głowy, jak w przystępie duszności. Zerwał się z miejsca i zacisnął kij w pięści, lecz po chwili powalił się znów ciężko na krzesło, drżąc na całym ciełe. Z rysów jego wyzierało śmiertelne przerażenie. Nie rzekł ani słowa. Żal mi go było serdecznie.

- Mój przyjacielu - rzekł Dupin dobrotliwie - niepotrzebnie pan się niepokoi, naprawdę niepotrzebnie! Nie chcemy sprawić panu przykrości. Daję słowo uczciwego człowieka i Francuza, że nie wyrządzimy panu krzywdy. Wiem najzupełniej dokładnie, że okrucieństwa przy rue Morgue nie były pańskim dziełem. Nie znaczy to jednak, jakobyś przeczył, iż w pewnej mierze pan w nich uczestniczył. Z tego, co już powiedziałem, domyślił się pan zapewne, iż mam sposoby, za pomocą których udało mi się zasięgnąć o tej sprawie wiadomości - sposoby, o jakich panu nigdy się nie śniło. Otóż rzecz przedstawia się tak: nie uczynił pan nic takiego, czego można było uniknąć, i na pewno nie dopuścił się pan „niczego, co by czyniło pana winowajcą. Nie popełnił pan nawet kradzieży, jakkolwiek mógł pan kraść bezkarnie. Nie ma pan nic do ukrycia. Nie ma pan powodu do ukrywania. Jest więc najprostszym obowiązkiem honoru wyznać wszystko, co panu wiadomo. Uwięziono niedawno niewinnego człowieka, podejrzanego o zbrodnię, której sprawcę pan może wskazać.

Podczas przemówienia Dupina marynarz odzyskał w znacznej mierze przytomność umysłu, atoli dawniejsze jego zuchwalstwo znikło zupełnie.

- Bodajby mnie Bóg skarał - rzekł po krótkiej chwili - jeśli nie powiem panu wszystkiego, co wiem o tej sprawie; wszelako nie spodziewam się, żeby

mi pan uwierzył, chociażby w połowie; byłbym wariatem, gdybym spodziewał się czegoś podobnego. Atoli jestem niewinny i wyznam wszystko, nawet gdybym miał to przyplacić zyciem.

Opowieść jego brzmiała w streszczeniu następująco. Niedawno odbywał podróż po Archipelagu Indyjskim. Gromada marynarzy, do której należał, wylądowała na Borneo i wybrała się na wycieczkę w głąb wyspy. Przy pomocy jednego z towarzyszy udało mu się schwytać orangutana. Towarzysz ten umarł i zwierzę stało się wyłączną jego własnością. Po wielkich przykrościach, spowodowanych podczas podróży powrotnej nieuskromioną dzikością małpy, powiodło mu się w końcu umieścić ją w swym mieszkaniu w Paryżu. By uniknąć nieznośnej ciekawości sąsiadów, trzymał zwierzę w zamknięciu, co miało trwać aż do wygojenia mu się rany w nodze skaleczonej drzazgą na pokładzie okrętu. Ostatecznie zamierzał je sprzedać.

Powróciwszy z jakiejś koleżeńskiej hulanki do domu nocą, a raczej wczesnym rankiem tego dnia, kiedy nastąpiło zabójstwo, zastał małpę w swej sypialni, do której włamała się z przyległej komórki, gdzie - jak mu się dotychczas zdawało - przebywała w bezpiecznym zamknięciu. Z brzytwą w ręce i cała umazana mydłem siedziała przed lustrem i próbowała się golić, w czym zapewne podpatrzyła poprzednio swego pana przez dziurkę od klucza. Struchlały na widok tego niebezpiecznego narzędzia w rękach tak dzikiego zwierzęcia, które znakomicie umiało się nim posługiwać, marynarz nie wiedział zrazu, co począć. Przyzwyczajony jednakowoż do poskramiania nawet najwścieklejszych wybuchów małpy za pomocą bata, zamierzał posłużyć się nim i tym także razem. Na widok bata orangutan wybiegł przez otwarte drzwi pokoju, stoczył się po schodach i wyskoczył na ulicę przez okno, które na nieszczęście stało otworem.

Zrozpaczony Francuz puścił się w pogoń; małpa, nie wypuszczając brzytwy z ręki, zatrzymywała się co chwila, by spojrzeć poza siebie, i stroiła miny do swego prześladowcy; kiedy zaś już ją dopędzał, uciekała dalej. Pościg ten trwał dość długo. Na ulicach panowała głęboka cisza, gdyż była zaledwie trzecia rano. W wąskiej uliczce, co przebiega tuż obok rue Morgue, zauważyła uciekająca małpa światło jarzące się z otwartego okna pokoju, który Madame L'Espanaye zajmowała na czwartym piętrze swego domu. Podbiegłszy do muru dostrzegła linę gromochronu, wspięła się na nią z niepojętą zręcznością, uchwyciła się okiennicy uchylonej aż do samego muru i przy jej pomocy wskoczyła na wezglowie łóżka. Wszystko to nie trwało nawet minuty. Orangutan, wdzierając się do pokoju, kopnięciem nogi znów otworzył na oścież okiennice.

Tymczasem marynarz zarazem cieszył się i trwożył. Miał bowiem niepłonną nadzieję, iż oto uda się mu odzyskać zwierzę, które wpadło w pułapkę i mogło wydostać się z niej tylko po linie, gdzie było nietrudno przeszkodzić jego ucieczce. Równocześnie ogarniał marynarza niepokój, gdy nasuwało mu się pytanie, co małpa może splatać w tym domu. Myśl ta kazała mu nie ustawać

w pościgu. Wspiąć się na linę gromochronu nie jest zbyt trudno, zwłaszcza dla marynarza. Kiedy jednak znalazł się na wysokości okna, które znajdowało się na lewo od niego, musiał się zatrzymać; mógł uczynić zaledwie tyle, by wyprostować się i zajrzeć do wnętrza pokoju. Zajrzawszy jednak, omal nie postradał równowagi z przerażenia. Było to wówczas, kiedy wśród ciszy nocnej rozległy się straszliwe krzyki, budząc ze snu struchlałych mieszkańców rue Morgue. Madame L’Espanaye i jej córka, obie ubrane do snu, były - jak się zdaje - zajęte porządkowaniem jakichś papierów we wspomnianej już żelaznej szkatułce, wyciągniętej na środek pokoju. Była otwarta, a jej zawartość leżała obok na posadzce. Ofiary siedziały zapewne odwrócone od okna, zaś z czasu, jaki upłynął między wtargnięciem zwierzęcia a krzykami, wynika, że nie dostrzegły go od razu. Stuknięcie okiennicy przypisywały zapewne wiatrowi.

Kiedy marynarz zajrzał do środka, potworne zwierzę ujęło Madame L’Espanaye za włosy (które były rozpuszczone, gdyż właśnie się czesała) i jęło wymachiwać brzytwą dokoła jej twarzy, naśladując ruchy golarza. Córka leżała nieruchomo na posadzce; postradała przytomność. Pod wpływem krzyków i szamotania się staruszki (której małpa wyrwała przy tym włosy) pokojowe - jak się zdaje - zamiary orangutana zamieniły się we wściekłość. Stanowczym ruchem potężnego ramienia niemal odciął jej głowę od tułowia. Na widok krwi gniew jego rozplomienił się do szału. Zgrzytając zębami i sypiąc skrami z oczu rzucił się na ciało dziewczyny, wpił straszliwe szpony w jej gardło i dzikie spojrzenie zwróciło się w tej chwili ku wezgowiu łóżka, znad którego wyjrzała właśnie twarz jego pana, zakrzepła z przerażenia. Wściekłość potwora, który bez wątpienia nie zapomniał jeszcze okrutnego bata, przedzierzgnęła się natychmiast w trwogę. Widząc, iż zasłużył na karę, i jak gdyby pragnąc ukryć swe krwawe czyny, miotał się w przystępie nerwowego podniecenia po pokoju, przewracał i druzgotał co krok meble i wyrzucał materace z łóżka. W końcu porwał najpierw trupa dziewczyny i wtłoczył w komin, gdzie go znaleziono, następnie zaś zwłoki staruszki, które głową na dół niezwłocznie wyrzucił przez okno.

Gdy małpa z okaleczonym ciałem podbiegła do okna, struchlały marynarz przyłgnał znów do liny i ślizgając się raczej niż czepiając opuścił się na ziemię - po czym natychmiast pobiegł do domu i wzdrygając się na myśl o następstwach tej rzezi wyrzekł się, strwożony, dalszych poszukiwań orangutana. Słowa zasłyszane na schodach były to okrzyki, którymi Francuz wyrażał swą grozę i przerażenie i na które odpowiadały mu szatańskie skowyty potwora.

Niewiele pozostaje mi do nadmienienia. Orangutan uciekł zapewne z pokoju po linie, kiedy przystępowano do wyłamania drzwi. Wyskakując z okna, zatrzaskał je snadź za sobą.

Ostatecznie zdołał go pojmać sam właściciel, który sprzedał go drogo do Jardin des Plantes. Le Bon został wypuszczony natychmiast z więzienia, gdyżśmy w biurze prefekta policji opowiedzieli, co zaszło, a Dupin oświetlił wypadki po swojemu. Prefekt, acz nader życzliwie usposobiony do mojego

przyjaciela, nie mógł mimo to całkiem ukryć niezadowolenia z takiego obrotu sprawy i pozwolił sobie na jedną czy dwie złośliwości o osobach, co wtrącają się do nie swoich rzeczy.

- Niechaj sobie gada - rzekł Dupin, który nie uważał za stosowne mu odpowiedzieć. - Niechaj się wyskarży! To ulży jego sumieniu. Jestem zadowolony, iż zwyciężyłem go w jego własnej dziedzinie. Nie pojmuję tylko, dlaczego tak bardzo wydziwia, iż nie powiodło się mu rozwiązać tej zagadki, gdyż mówiąc prawdę - nasz przyjaciel prefekt zbyt jest szczywany, aby mógł być głęboki. Jego znajomość rzeczy nie ma kręgosłupa. Jest tylko głową, a nie ciałem, jak wizerunki bogini Laverny - lub, co najwyżej, głową i ramionami na podobieństwo dorsza. Lecz, mimo wszystko, to człowiek wcale przyzwoity. Lubię go za przedziwny w jego naturze rys *cantu*, któremu zawdzięcza wygórowane mniemanie o swych zdolnościach. Mam mianowicie na myśli jego właściwość *de nier ce qui est, et d'expliquer ce qui n'est pas*⁵.

⁵ de nier ce qui... (fr.) - przeczenie temu, co jest, równa się tłumaczeniu tego, czego nie ma (przyp. red.).